DZIŚ I JUTRO.



DWUTYGODNIK DLA MŁODZIEŻY

ROK XIII 15 WRZEŚNIA 1936 NR. 1

Od Redakcji

Otwieracie numer wrześniowy i stwierdzacie zmianę redaktorki. Kto inny wita Was dziś, a chciałby powitać równie serdecznie, jak jego Poprzedniczka. I chciałby od Was współpracy czytania i współpracy wypowiadania się czy to w formie utworów, czy w formie brania udziału w „zawodach" (szukajcie dalej, co to znaczy), czy... i tego Redakcja pragnie może najgoręcej — w formie pisania swobodnie, szczerze Waszych uwag o bieżących numerach „Dziś i Jutro". Przyjście listonosza, to moment bardzo ciekawy dla Redakcji, bo — są listy od Was. Pamiętajcie, Redakcja czeka!

Odpowiedzi Redakcji

Z. M., Kraków. W wierszu dużo uczucia, ale forma szwankuje. Powinnaś wnikać, czytając poezje, zarówno w ich treść, jak budowę, to dopomoże Ci do zdobycia własnej formy.

Lila U., Warszawa. Wiersz „Doping" silny, bogaty w treść zarówno uczuciową, jak myślową, ale miejscami forma słaba. Proszę się nie zrażać i, w myśl swego wiersza, zdobywać przeszkody w biegu — poetyckim.

Alis. Prosisz o sąd o wierszach. Sąd o jednym wywnioskujesz z tego numeru, drugi wiersz „Człowiek przyszłości" wskazuje na głębsze zainteresowania zarówno kwestją społeczną, jak pewnymi zagadnieniami psychologiczno-filozoficznymi, ale forma nie jest dostatecznie opanowana. Do p. Zakrzewskiej możesz pisać na obecny adres Redakcji, bo jesteśmy w częstym kontakcie.

Jagienka z pod Lublina. Za nadesłane wiersze dziękuję, mile uderza ich charakter regionalny, ale właśnie wskutek niego mają większe znaczenie przedewszystkiem dla tych, co Lubelszczyznę znają bliżej.

Wanda Pieniążkówna, Stanisławów. Za list, choć spóźnione, podziękowanie. Ciekawam bardzo, jak się udały wakacje i czy wzbogaciły czem „tekę" autorską?

Nadesłane

Koło Polskiej Macierzy Szkolnej imienia Zofii Bukowieckiej ogłasza konkurs na utwór literatury pięknej o wartościach społeczno-wychowawczych dla dzieci (lat 8—14) najszerszych warstw ludności. Rozmiar utworów: 2—5 arkuszy druku; termin nadsyłania 1 luty 1937; nagrody: 300 zł, 200 zł i cztery po 150 zł.

Szczegółowe prospekty wysyła na żądanie Sekretariat Koła: Warszawa, Koszykowa 6 a, m. 5.

Książki nadesłane: Karol Kalin. W namiotach Mahdiego. Wyd. Salezjańskie. Warszawa 1936.

Ks. Fr. Nowakowski. Promienną drogą. Karnkowo.

Jagienka z pod Lublina. Lubelszczyzna w poezji. Lublin, księg. Cholewińskich.

**Dom Akademiczek
przy Uniwersytecie Katolickim w Lille**

Kursy specjalne dla studentek cudzoziemek.

Pensjonat jest otwarty przez cały rok, z wyjątkiem sierpnia, dla cudzoziemek, pragnących pogłębić znajomość języka i kultury francuskiej. Przyjmuje się je w tych samych warunkach, co studentki francuskie.

Specjalne kursy są dla nich przeznaczone na Uniwersytecie Katolickim i w Domu Akademiczek.

Na Uniwersytecie Katolickim (od 1-go listopada do 30 czerwca) wykłada się język i literaturę francuską 2 godziny tygodniowo. Wykłady przygotowują do dyplomu, którego udziela Uniwersytet Katolicki studentom obcokrajowcom t. zw. „Świadectwo nauki francuskiego" (Certificat d'etudes françaises").

W Domu Akademiczek (od 1 września do 31 lipca) wyższy kurs religii (obowiązujący dla katoliczek) 1 godzina tygodniowo. Język i literatura francuska (2 godziny tygodniowo). Śpiew gregoriański (1 godzina tygodnowo).

Opłata za kurs w Domu Akademiczek. Opłata za wykłady liczące powyżej 6 słuchaczek wynosi 3 franki na godz. Lekcje prywatne kosztują 10 franków za godz. Koszt wykładów liczących mniej niż 6 słuchaczek równa się cenie lekcji prywatnej zwiększonej o 60 procent i rozkłada się pomiędzy studentki biorące w nich udział.

Na życzenie studentek organizuje się przechadzki do miasta i wycieczki do okolic (włącznie Belgia), oraz jednorazowy wyjazd do Paryża.



ROK XIII 15 WRZEŚNIA 1936 R. NR. 1

DZIŚ I JUTRO

DWUTYGODNIK DLA MŁODZIEŻY

ROK XIII 15 WRZEŚNIA 1936 R. NR. 1

Zaczęła się — przerwa między wakacjami

Ktoś powiedział, że: „dobra byłaby szkoła, gdyby nie te przerwy między wakacjami". Taka przerwa zaczęła się. Będzie trwać długo, jak na mój młody żywot, dla którego miesiąc znaczy — rok.

Bo mam swoiste tempo przeżywań.

Coś trzeba z tą przerwą zrobić, jeśli nie ma być dla mnie długą, ciężką koniecznością, osłodzoną tylko współczuciem z koleżankami i czasem, ale stanowczo zbyt rzadko — wycieczką.

Letnia sukienka poszła do szafy.

Obowiązuje mundur, tarcza, znaczek.

Obowiązuje pewna godzina rannego wstania, jeżeli nie chcę się spóźnić i — ponosić konsekwencji.

Obowiązuje pewna ilość godzin w szkole.

Obowiązuje... Och, tych „obowiązuje" możnaby napisać całą tragiczną litanię.

Przed wakacjami liczyłam dni, a potem już i godziny do końca roku szkolnego.

Podczas wakacji kalendarz był mi wrogiem.

Wiedziałam, że pokonają mnie moje wycieczki, moje „dolce far niente", mój „czas dla siebie".

Czas kalendarza miał w sobie coś z fatum, co szło nieubłaganie, jakbyś wiedział, że wali się na ciebie góra — a nie możesz uciec.

Czułam bolesny sprzeciw całego wolnego człowieka, który miał być zwyciężony. Bo musiałam iść do szkoły dlatego, że tak trzeba, że tak chcą rodzice, że taki jest obyczaj na naszym globie, w naszej starej Europie.

Miałam iść, bo trzeba sobie w głowę pakować różne mądrości — chcesz, czy nie chcesz.

A jestem młoda! W tym słowie tyle jest różnych możliwości.

Zaczęłam walczyć. Myśl pracowała w czasie samotnych godzin w lesie. Nie widziałam piękna drzew, ani wilgotnej zieleni mchu, ani słońca, co się siało przez koronki liści.

Walczyłam.

Odkryłam wtedy, że są dwie drogi: albo życie kształtuje mnie, narzuca mi się od zewnątrz, beze mnie, a może i przeciw mnie — albo ja kształtuję moje życie — od wewnątrz.

To był pierwszy etap. Tego dnia był upał niemożliwy. A mnie było gorąco i znojnie od wysiłku myśli.

Postanowiłam iść do szkoły nie dlatego, że m u s z ę, ale że c h c ę!

Przypomniało mi się zasłyszane kiedyś zdanie, że wola idzie tam, gdzie widzi jakąś wartość. W szkole szukałam wartości dla siebie.

Tak, pójdę, bo chcę. Chcę kształtować siebie świadomie przez poznawanie kultury ludzkości, przetwarzanie jej w kulturę własną na to, by potem kulturę dalej z innymi współtworzyć. Chcę szkoły, by w współpracy i współżyciu koleżeńskim i organizacyjnym na jej terenie przygotowywać się do



życia w wielkim społeczeństwie Państwa i Ludzkości.

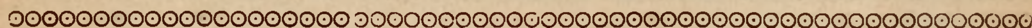
Dlatego chcę tych przedmiotów szkolnych, pokratkowanych w szachownicę w tygodniowym planie, tych zadań, lektur, radości i chmur.

Zdobywałam w sobie to chcenie wśród zieleni drzew i upojnego świergotu ptaków, ciężką walką piędź po piędzi.

Zdobyłam. Dziś chcę!

I choć już blisko parę tygodni pracy szkolnej mam za sobą, chcę tych wszystkich dalszych tygodni, które idą.

Zwyciężyłam!

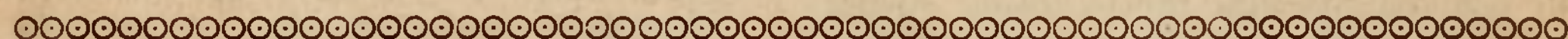


JEŻELI CHCESZ

Jeżeli chcesz
mieć taki klucz,
co szczęście
ci otworzy, —
to książkę bierz
i ucz się, ucz
od zorzy
aż do zorzy!...

I szukać chciej
tych jasnych dróg,
co w słońce
ludzi wiodą, —
aż znajdziesz w nich
to, czembyś mógł
wzbogacić
duszę młodą!...

E. Kłoniecki.



Barcelona w przeddzień rewolucji

Przestrzegano nas, gdy statek dojeżdżał do Barcelony: „— Trzeba uważać, nie chodzić samemu po uliczkach, trzymać się wycieczki". Więc człowiek był trochę speszony. Cóż nam mogą zrobić osławieni Hiszpanie? — Owszem, czytało się w gazetach, że rozruchy, że mordują, że palą kościoły, ale może nie jest tak źle.

I zdecydowaliśmy się nie słuchać rad i nie trzymać się wycieczki. Statek dobił do portu, pogoda była promienna, a nam wesoło na duszy. Było w nas coś z tego wzruszenia, które udziela się każdemu, gdy widzi obcą ziemię.

Molo było dość puste, największą atrakcją były dwa uganiające pieski. Najęliśmy sobie taksówkę, przystojny policjant o wesołych oczach grzecznie nas objaśnił co do ceny za ekspedycję. Bo chcieliśmy nasamprzód wyjechać za Barcelonę, na sławne Monserrat, gdzie stoi klasztor na szczycie góry.

Ruszyliśmy przez miasto, uliczkami bocznymi, dość niepokaźnymi, banalnymi, potem wjechaliśmy w wielką, prostą jak strzała „avenue", jaskrawą od kwietników i przeciętą dwoma rzędami palm. To główny trakt, prowadzący do śródmieścia nowej Barcelony.

Tą avenue pędziliśmy poza miasto, mijając śliczne wesołe domki i winnice, ogrody i sady. Nie ma pól, nie ma bydła, nie widać nawet drobiu. Ani koni; pracują w ogrodach muły. A w dali widnieje już pasmo skaliste coraz bliżej, zwały krótkich pękatych gór, szarych, niczym nie obrosłych, dzikich i pustych. W dole winnice i zieloność na czerwonej ziemi powoli tracą na bujności. Coraz więcej nieużytków, domki coraz rzadsze, stepy z taką, jak nasza macierzanką.

Przy drodze winiarnia. Nasz szofer staje i radzi się czegoś napić. Jest przyjacielski i miły. W tej chwili śmi-

ga szosą piękna limuzyna: — „Dużo prywatnych samochodów w Hiszpanii? — pytam — nie odbierają?" — Szofer się śmieje: „Ho, ho! u nas? masę samochodów prywatnych któżby odbierał?" Rozmawiam z nim po francusku. Rozumie wszystko i ciągle się śmieje.

No, ale stanęliśmy i właściciel winiarni liczy na zarobek. Nie można mu robić zawodu. A i nasz szofer by się pogniewał. Sprzedają nam za grosze paskudnego szampana. Pijemy go w szklaneczkach, podczas gdy nasz przyjaciel sięga do wielkiej butli o kilku lejkach, przechyla ją i wlewa w siebie tanie wino, trzymając butlę wysoko w rękach i nie dotykając ustami lejka. Śmiejemy się i podziwiamy jego zręczność — złoty, świetlisty łuk, wpada w usta i do żołądka. Płaci się za czas picia.

Jedziemy dalej i krajobraz zmienia się: skały zaczynają się tłoczyć dokoła, wytryskują z ziemi zbite w wałki, poprzylepiane jedne do drugich, urywają się nagle, zamieniając się w bezkolorową, płaską grudę, by znów rozbiec się dalej i wreszcie przykryć całe ogromne tereny, groźne, bezludne i dzikie. Ani domku, ani ścieżki, nic tu nie widać, tylko świetna asfaltowa szosa w błyszczących serpentynach pędzi poprzez pustkowie.

Szofer staje: „Que-ce-qu'il y a?" — pytamy go: otóż przy drodze rośnie macierzanka. On musi sobie narwać, bo z tego doskonała zupa, jego żona świetnie ją przyprawia: „Et pour Vous, Madame" dodaje, wręczając mi pęk kwiatów: „Na drogę, żeby pachniało".

Mija nas tymczasem kilka limuzyn. W jednej mignęła biała sylwetka w welonie: „O! woła uradowany szofer — „jadą na ślub do klasztoru w Monserrat, bo to zapewnia szczęśliwe pożycie małżeńskie". — „A ślubów katolickich udzielają jawnie?" — „Certainement" — odpowiada nie odwracając się, zajęty bardzo ugniataniem macierzanki w gęsty i zbity tłomok.

Ruszamy już bez zatrzymywania się na Monserrat. Stamtąd kraj widać rozległy i pusty. Jeszcze więcej skał nowych, podobnych poprzednim, w dali wysokie góry. Zwiedzamy kościół, mroczny i uroczysty, niestety przerobiony zbyt wspaniale w ostatnich czasach. Ze starego klasztoru mało co zostało.



Skały po drodze do Monserrat.

Po południu, proponujemy naszemu przyjacielowi, aby nas obwiózł po mieście. Tak całkiem wolno, niech staje przed tym, co ciekawe: „ça va". Więc wjeżdżamy na początek w szykowną nową Barcelonę. Miasto robi wrażenie bogatego, bardzo ruchliwego, ożywionego. Cóż tu porównać z naszą Warszawą! Środkiem ulic, poustawiane według przepisu rzędy prywatnych samochodów, pozostawionych tu przez właścicieli, załatwiających swoje sprawy, lub siedzących po kawiarniach. Sklepy wielkie i bogate, ruch kupujących wskazuje na dobrobyt. I ogólna wesołość! Tyle śmiejących twarzy. Spotkaliśmy na ulicy wielu księży. Szli beztroscy i radośni, jak cała ulica! A my mówiliśmy do siebie: „Gdzież ten ucisk religii? Ko-

ścioły stoją rozwarte na oścież i dzień cały wstępują w nie ludzie."

Weszliśmy także. Katedra gotycka, moc w niej zakamarków, kapliczek, a w podwórzu, tak charakterystyczny dla południowych krajów krużganek. Pomarańcze szeleszczą w pośrodku, a słońce rzuca precyzyjnie na kamienne posadzki koronkowy ornament arkad. Tak tu migotliwie i jasno, że wracając do świątyni mrużymy oczy i nie widzimy nic. Po chwili dopiero rzucają się w oczy białe chusteczki do nosa na głowach rozmodlonych Hiszpanek. Nie wolno tam kobiecie wejść do kościoła bez nakrycia głowy, więc radzą sobie jak mogą. Są przeważnie ładne i czarno ubrane, często zarzucają koronki, tak popularne w Hiszpanii i tak piękne.

Nasza taksówka czeka pod katedrą. Umęczony gorącem człowieczyna zdrzemnął się i obudzony przez nas szczerzy zęby w uśmiechu Czy nam się podobało? — pyta życzliwie: — „Owszem bardzo, ale czemu tyle piszą po gazetach o rewolucji, kiedy my nie widzimy jej ani śladu". — „To tylko tak piszą po gazetach, u nas nie ma żadnej rewolucji" — śmieje się taksówkarz. Niestety, najbliższa przyszłość miała okazać, że się mylił. Grozą przejmuje człowieka myśl, że ci wszyscy księża, na których wesołości używaliśmy, przeszli od tego czasu piekło, w tejże samej Barcelonie.



Monserrat.

Wokół katedry, to najstarsza część Barcelony. Ciasne gotyckie zaułki, pochyłe mury przysiadają ciężko na ziemi, wznosząc w górę wycyzelowane okapy, odrzwia i framugi misternie w kamieniu obrobione, a na dachach przykucnęły pełne ekspresji potworki. Tu się pomylić nie można. Gotyk z 13 wieku żyje pomiędzy nami.

„A co z walkami byków?" pytamy szofera. „Tylko w niedzielę, dziś nic z tego" zasępił się, „ale ja Państwa zawiozę na arenę, niech sobie Państwo obejrzą, bo to warto". — Zgoda. Mkniemy znowu przez wygrzane ulice. „Co ludzi po kawiarniach", myślę sobie, ale już przejeżdżamy obok cudnego pałacu. To właściwie przepych kwiatów zwrócił moją uwagę: glicynie w wielkich liliowych kleksach opstrzyły mury, migocąc i mieniąc w słońcu ruchome płateczki, róże w tysiącach odmian przykucnęły dokoła w radosnej kłótni z jaskrawo kwitnącymi krzewami.

— „Cóż to jest?" — olśniła mnie ta kwiecista siedziba. — „To pałac markizy X." — „I mieszka?" — „Certainement." — Czy mieszka tam dziś jeszcze biedna markiza rozkochana w kwiatach i barwach? — wątpię.

Arena do walki z bykami olbrzymia, piaskiem wysypana, dokoła piętrzą się kamienne ławki na 10 000 widzów. Każdy Hiszpan przychodzi tu z małym materacy-

kiem, i na nim siedzi. W razie deszczu, materacyk na głowę, i siedzi się dalej.

Oprowadza nas dozorca, sprawia mu to widoczną przyjemność, przejęty jest ważnością zadania. I on mówi po francusku, bardzo z hiszpańska, ale rozumieć go można. Chce nam wszystko pokazać. Prowadzi więc nas do kapliczki, która znajduje się tuż za areną: „Ta kapliczka — objaśnia — otwartą jest przez cały czas walki. Przed walką torreadorzy modlą się do Madonny o zwycięstwo, a gdy idą na arenę, dziewczyny proszą tu Madonnę, aby ich miała w opiece. Przy kapliczce szpital. Sześć łóżek pościelonych, obok sala operacyjna. W razie wypadku czeka sześciu doktorów gotowych do obsłużenia ofiary."

Czy chcemy oglądać byki? Oczywiście, chcemy. Obchodzi się górną galeryjką, byki widać w dole. Duży plac, kryty z jednej strony, otwarty z drugiej, poprzegradzany parokrotnie. W każdej przegrodzie po kilka byków. Naprzód pokazują nam byki małe, kasztanowate, jest ich kilkanaście razem. To do t. zw. walk komicznych, odbywają się co parę tygodni — bezkrwawe parodjowanie walk poważnych. W dalszych przegrodach byki do walki. Potężne i czarne, porykują patrząc leniwie przed siebie. Za te byki płaci Towarzystwo szalone pieniądze. Pochodzą one ze specjalnych hodowli. Hiszpanie te hodowle znają Są hodowle, z których byki są specjalnie złe i silne. Na takie walki ceny biletów są znacznie droższe i napływ gości nieprawdopodobnie liczny. Hiszpan w czasie walki szaleje: bierze udział w każdym drgnieniu torreadora i zwierzęcia, w entuzjaźmie lecą na arenę kapelusze, rękawiczki, powiewają chusteczki od nosa, wznosi się dziki krzyk. Gdy w przepisanym czasie byk nie polegnie, wygwizdany torreador opuszcza plac. Ale byk skazany jest na rzeź. To biedne zwierzę z chwilą, kiedy raz uszło śmierci na arenie, wrócić już na nią nie może: za mądre jest i niktby mu nie dał rady.

I nas opanowuje gorączka! Zobaczyć to, zobaczyć! I zasypujemy dozorcę pytaniami: czy piękni są torreadorzy? Tak, są piękni, w aksamity i złoto odziani, a gdy zwyciężą, obiegają wokół arenę dumnie i radośnie, chwytają bacznie wśród wrzasków pałającej publiki, krzyk uwielbienia swej ukochanej dziewczyny.

Żegnamy miłego dozorcę, gadałby jeszcze z nami, ale nam się spieszy, postój w Barcelonie ma się ku końcowi, statek odpływa za dwie godziny na południe. Dziękujemy też szoferowi, doskonale nas obwiózł, pokazał co trzeba, był swojski i przyjazny. „Będziemy mile wspominali Hiszpanię", rzucamy mu na pożegnanie. Śmieje się i zgarnia zarobione pieniądze.

Odjeżdżamy wieczorem, a miasto tonie w światłach. Niebo rozgwieżdżone, powietrze chłodne od wody. Długo błyszczał port, choć my byliśmy już na pełnym morzu. Wynieśliśmy wrażenie radosnej, spokojnej Hiszpanii. — Pomyliliśmy się.

Barcelona, koniec kwietnia 1936 r.

Teresa Tyszkiewiczowa

Dziś ze słonecznej Barcelony pozostały tragiczne gruzy — a groby zamykają sobą tysiące tych, co żyli jeszcze w końcu kwietnia. Odwraca się wielka, tajemnicza karta historii... (dopisek Redakcji).

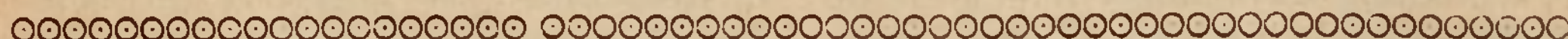


DOMEK Z KART

Wiele w mojej poezji zwykłej retoryki,
Niemało pleonazmów w pustych słów potoku,
Niekiedy tylko żywsza iskra błyśnie w oku
I zamilkną na chwilę patetyczne krzyki.

Płytko się zanurzyłem w rozkoszy głębokiej,
Którą bezdeń dać może prawdziwej prostoty —
Uwiodła mnie fantazja i pragnień poloty,
Bom ze słów chciał budować gmach uczuć wysoki.

Wiesław Pyrek.





Pierwszy od lewej: Szczepko, drugi: Wiktor Budzyński, kierownik Wesołej Fali, trzeci: Tońko.
Fot. „Styl", Lwów

Pionierzy lwowskiego humoru

Jako wielbicielki „Wesołej lwowskiej fali" udałyśmy się do Polskiego Radia z prośbą o wywiad dla naszego pisma. Tremę miałyśmy ogromną, ale po krótkim pobycie w studio zapomniałyśmy o niej, poddając się przemiłej atmosferze swobody i niewymuszonej wesołości. — Ponieważ było to w niedzielę, na godzinę przed „wesołą falą", wszyscy byli w komplecie i udało nam się zebrać garść informacji.

Zespół „wesołej fali", tak bardzo popularny nie tylko w kraju, ale i na całym świecie, składa się z szesnastu osób występujących w audycjach pod kierunkiem mgr. Budzyńskiego.

Chcąc dowiedzieć się czegoś o każdym z artystów, ułożyłyśmy sobie kilka pytań, to też znalazłszy się w studio, oddane „pod opiekę" p. Wieszczka, przystąpiłyśmy do pracy. Ponieważ mgr. Budzyński był bardzo zajęty

i źle się czuł, skorzystałyśmy z informacji Referenta Prasowego red. Fabiańskiego co do radia i audycji.

Dowiedziałyśmy się rzeczy znanych lecz niemniej ciekawych. Lwowska rozgłośnia rozporządza dwoma studiami, dużym i małym. Pierwsze służy do audycji zbiorowych, drugie do odczytów, prelekcji i wykładów.

— Może objaśnić Panie jak się odbywają audycje? — Pierwszą rzeczą jest próba głosu, bo nie każdy głos jest radiofoniczny i wtedy rzecz czyta lektor. Błędne jest powiedzenie: „mówić do mikrofonu", bo właściwie mówi się przed mikrofonem. Niebieskie światełko oznacza przygotowanie prelegenta, czerwone: mówić! Na stole jest tablica, na której w czasie czytania, (bo rzadko kto improwizuje, zwykle się czyta), wyskakują świetlne sygnały: prędzej, ciszej, wyraźniej i inne. Studio jest uszczelnione kotarami i dywanami tak, że z zewnątrz nie słychać żadnych odgłosów. Przy czytaniu należy uważać na szelest kartek, kaszel i t. d.

— Coby tu jeszcze paniom powiedzieć? — pyta uprzejmie.

— Na czym właściwie polega pańska praca?

— Jestem referentem prasy i propagandy: do mnie zwracają się dzienniki z wiadomościami i informacjami.

— Musi pan mieć pewno dużo zajęcia i kłopotów?

— O tak! ale przyzwyczaiłem się i bardzo lubię swoją pracę.

W tej chwili nadchodzi właśnie nasz „anioł opiekuńczy" p. Wieszczak.



100-fala, 28. IV. 35

Stoją od lewej: 1. Jerzy Tepa, Juliusz Gabel, Adolf Fleischer (Untenbaum), Mieczysław Monderer (Aprikozenkranz), Tadeusz Seredyński, Kazimierz Nabielec, Wilhelm Korabiowski (Strońć), Józef Wieszczek.

2. Czesław Halski, Izydor Dąb, Kazimierz Wajda (Szczepko), Wiktor Budzyński, Henryk Vogelfänger (Tońko), Stanisław Czerny, Teodor Akrzyński. Alfred Schütz.

3. (Siedzą) śp. Alfred Kowalski, Stefania Zielińska, Love Short, Ada Artzt, dyr. Juliusz Petry, Teodozja Lisiewicz, Ewa Stojowska, Wlada Majewska.

4. (Siedzą na ziemi) „Wesoła Piątka": Romanowski, Zych, Irena Lipczyńska, Jasłowski, Seidler, Zbigniew Lipczyński.

więc prosimy go, aby powiedział nam coś o sobie.

— Czy zacząć od daty urodzenia i życiorysu? — pyta śmiejąc się.

— O nie, od początku swej pracy w radio.

— Jestem więc najstarszym wykonawcą ról. Do r. 1930 pisałem gwarą podhalańską, potem zaś ekscentryczne kawałki.

— Kiedy odkrył pan w sobie talent naśladowania rozmaitych głosów, może jeszcze w szkole?

— Nie. Zmusiła mnie do tego konieczność radiowa. Trzeba było kiedyś naśladować płacz dziecka, żadna z pań nie potrafiła tego uczynić, mnie zaś udało się najlepiej. Podobna historia była z głosem lwa. Jedna z pierwszych moich audycji niedawno była powtórzona. Występowałem w niej w rolach siedmiu osób jednocześnie. Pozatem jestem inspicjentem t. zn. kierownikiem akustycznym i wykonawcą ról.

— Dziękujemy panu bardzo, teraz skorzystamy z uprzejmości p. Zielińskiej i p. Gabla.

Dowiedziałyśmy się od nich, że zespół jest tak zgrany, iż próby audycji „fal“ są niemal zbędne. Wszyscy są również bardzo zżyci, co ogromnie ułatwia pracę, jak mówi p. Teodozja Lisiewicz. Pani Lisiewicz znana jest wielbicielom fali, ze świetnie odtwarzanych ról charakterystycznych, różnych audycji radiowych, a przede wszystkiem z „koncertów życzeń“, których jest kierowniczką, a które tyle przynoszą dobrego, że ze wszechmiar godne są poparcia. Z pieniędzy bowiem, przez nie zebranych, organizuje Polskie Radio doraźną pomoc biednym.

Dziękujemy p. Lisiewicz za informacje, a tymczasem nadchodzi p. Mieczysław Monderer, jeden z dwóch doskonałych wykonawców dialogów politycznych, w których występuje jako Aprikosenkranz. Mimo, że jest zachrypnięty, (oczywiście „polityczna chrypka“), zadajemy mu kilka pytań:

— Jak dawno bierze pan udział w występach fali i jak się pan czuje w swojej roli?

— W audycjach fali występuję już od 3 lat. Poprzednio występowałem w „Naszym Oczku“ (teatr liter.-akademicki), skąd właśnie wszedłem do radio. W swojej roli czuję się bardzo dobrze.

Nie męczymy go dłużej, gdyż naprawdę nie może dużo mówić, zwracamy się więc do nadchodzącego pana Wilhelma Korabiowskiego, który jako Strońć zjednał sobie wszystkie serca, wspominając czasy „nieboszczki Austrii“ i wywołując swym komizmem huragany śmiechu, o który dziś tak trudno. Musimy się przyznać, że inaczej wyobrażałyśmy go sobie, — jako starszego pana z bokobrodami, a tu tymczasem zjawia się „młodzieniec zapominalski, roztrzepany i straszny śmieszek“ według określenia jego kolegów. Na nasze pytanie, czy typ Strońcia wzięty jest z życia czy fantazji, odpowiada, że i z imaginacji i z życia, ale trochę przejaskrawiony. Niestety zabierają nam p. Korabiowskiego, my zaś, korzystając, że udało nam się zatrzymać p. Fleischera, zapisujemy skrzętnie jego słowa:

— Jestem tu od pierwszej chwili otwarcia rozgłośni lwowskiej. Od 6½ lat prowadzę samodzielnie dział reklamowy oraz audycje międzynarodowe, a w „wesołej fali“ występuję jako Untenbaum. Radio bardzo lubię i przywiązany jestem do naszej rozgłośni.

Niestety i p. Fleischer musi odejść, ale na szczęście przedstawia się nam z kolei p. Vogelfänger — Tońko, ów Tońko, ulubieniec publiczności.

— Może zechce nam pan powiedzieć coś o genezie dialogów i jak długo bierze pan udział w „Fali“?

— W audycjach „fali“ występuję już bardzo długo. Dialogi wraz ze Szczepciem piszemy sobie sami. Geneza ich znalazła źródło w tym, że im-

prowizowaliśmy „po lwowsku“, podchwycił to p. Budzyński i od tego czasu występuję ze Szczepkiem przed mikrofonem .

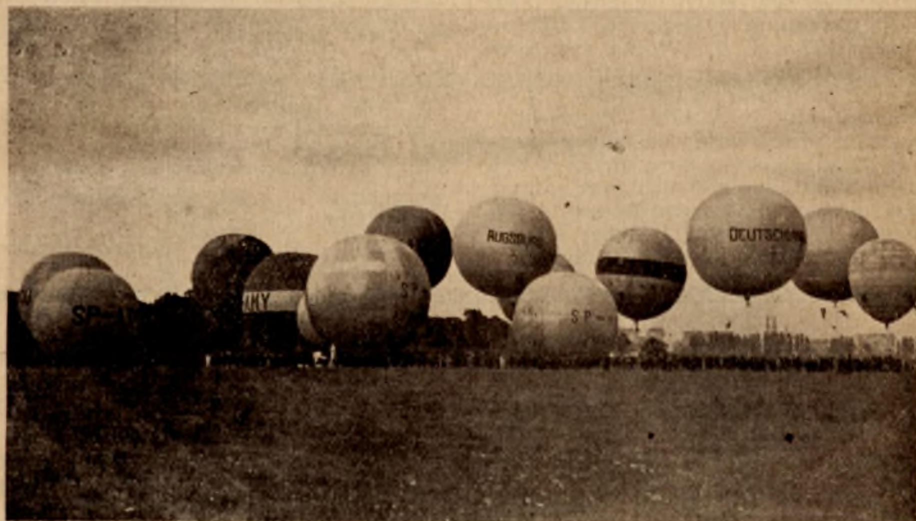
Tymczasem zaczyna się audycja „wesołej fali“, żegnamy się więc z panem Vogelfängerem i żałując strasznie, że nie możemy się zobaczyć z panem Wajdą — Szczepkiem, idziemy do małego studia, ażeby stamtąd posłuchać „fali“.

Dowiadujemy się jeszcze kilka szczegółów od p. Włady Majewskiej, która zaraz po zdaniu matury przyszła do radia i pracuje w nim od 1930 roku.

Po skończonej audycji żegnamy się z artystami zespołu i podziękowawszy im za uprzejmość, wracamy do domu pełne wrażeń i zachwytu.

Lwów, Gimnazjum SS. Urszulanek.

Baśka Mniszkówna i Krysia Korewicka



DO WARSZAWIAKÓW

30 VIII 1936 r.

O ludzie, kochani ludzie,
A cóż się wam dziś stało,
Że hen, w błękity patrzycie
Za jakąś plamką białą?
Co się wam stało, ludzie
Od zysków, obmów, waśni,
Że was tak uwiódł, przykuł,
Gdzieś — balon, jak czar baśni . . .
Co się to stało, ludzie,
Wy biedni i strapieni,
Że się wam w oczach szarych
Blask od błękitów mieni?

Hej, ludzie, bracia rodzeni,
Zwaśnieni nazbyt długo,
To coś z błękitów dobrych
Do serc się sączy smugą.
To coś z błękitów pogody,
Jak słodkie, wonne nektary
W duszach się wam rozlewa
— Gdyście otwarli czary.
Gdyście choć raz nad ziemię
Z nad kurzu, aut i błota
Podnieść zechcieli oczy
Do słonecznego złota . . .

Otworzyć chcieli serce
I iść . . . i iść bez końca
Za białą plamką balonu,
Do przejasnego słońca . . .

Ignacy Mazinek.

Z historii zawodów balonowych im. Gordon-Bennetta

Amerykanin, wydawca dziennika w Chicago, James Gordon Bennett zainicjował zawody balonowe. Czemu? Trudno dziś odpowiedzieć, ale czy nie wolno nam przypuszczać, że w mieście drapaczy chmur i rzeźni, zatęsknił trzeźwy Jankes do przestrzennych, czystych błękitów? A może, jako chłopiec, pasjonował się do dziecinnych baloników i potem, od nawału pracy, odpowiedzialności „afer" dziennikarskich szukał ucieczki — w lotach bal.

Pierwszy start balonów wolnych do rozgrywki o puchar przechodni nastąpił 30 września 1906 r. Zwycięski balon osiągnął 547 km po 23-godzinnym locie; w drugich z kolei zawodach osiągnięto 1.403 km w 40 godzinach, w trzecich 1.212 km w 72 godzinach i t. d. Wojna światowa przerwała zawody.

Pierwsze po wojnie, a dziewiąte z kolei zawody nastąpiły w r. 1920. Zwycięstwo przechodzące przed wojną od jednego państwa do drugiego, było teraz przez 3 lata w rękach Belgii, zdobyła ona tym samym pierwszy puchar im. Gordon-Bennetta. W następnych latach drugi i trzeci z kolei puchar otrzymały Stany Zjednoczone.

W r. 1933 czwarty z kolei puchar funduje dziennik „Chicago Daily News". — Wśród 8 balonów startujących w Chicago, jest jeden polski, „Kościuszko" z załogą: kpt. Hynek i kpt. Burzyński. Wbrew powszechnym oczekiwaniom „Kościuszko" zajmuje pierwsze miejsce, zdobywając w niespełna 40 godzin 1.361 km. Następnym miejscem startu była Warszawa. Wśród 17 balonów zwyciężył znów kpt. Hynek. W r. 1935 zdobywa puchar na własność dla Polski kpt. Burzyński.

Polska ufundowała nowy puchar.

Zawody obecne przyniosły zwycięstwo balonowi „Belgica" — 1.750 km w 48 godz. 44 min., 2-gie miejsce zajął z takim niepokojem przez całą Polskę oczekiwany „LOPP" — 1.650 km. 3-cie szwajcarski „Zürich III", wykonany w Polsce — 1.550 km, 4-te „Deutschland" — 1.550 km, 5-te „Warszawa I" — 1.543 km, 6-te „Polonia II" — 1.428 km, 7-me „Sachsen" — 1.142 km, 8-me — „Maurice Mallet" — 1.120 km, 9-te „Augsburg" — 1.000 km, ostatnie Bruxelles 801 km.

Ignacy Mazinek.

ooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooooo

Z pogrzebu ś. p. Generała Orlicz-Dreszera

Są wakacje. Pogodne, spokojne. Patrzę codzień na morze, nad którym mieszkam: jest takie swojskie, bezpieczne.

Aż nagle... Spada na mnie wiadomość o Jego tragicznej śmierci, jak grom. W parę dni potem jestem na pogrzebie. Tego nie zapomnę nigdy...



Żołnierze niosą wieńce na grób gen. Orlicz-Dreszera.

W powietrzu pełnym słońca i woni rozpływa się głuchy odgłos werbli. O bruk uderzają końskie kopyta, połyskują w słońcu armaty, rozlega się chrzęst broni maszerujących równo, miarowo żołnierzy. Składają ostatni hołd zmarłemu generałowi, niosą Mu wieńce świeżych kwiatów — przepych rozrzutny życia!

Kroczą różne delegacje z wieńcami — jest ich blisko sto.

Na szkarłatnej poduszce niosą oficerowie wszystkie odznaczenia wojskowe Zmarłego.

Rozlega się poważny śpiew księży. Sześć koni ciągnie lawetę armaty, na której spoczywa trumna. Promienie słońca ślizgają się po srebrnych jej okuciach, pieszcząc zielone sukno złożonej na trumnie generalskiej czapki.

Przy głuchym pomruku werbli oficerowie zdejmują z lawety trumnę i na własnych barkach wnoszą ją do wnętrza kościoła. Za trumną idzie P. Prezydent, gen. Rydz-Śmigły, Ministrowie wraz z najbliższą rodziną Zmarłego, zagraniczni delegaci w kapiących od złota mundurach.

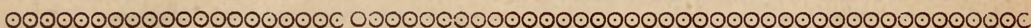
W górze warczą krążące wciąż nad nami samoloty.

Łkają werble.

— — — — — — —

Leży teraz w samotnym grobowcu. Zwartym pierścieniem otaczają Go drzewa. U stóp szemrze Mu swe odwieczne tajemnice morze, nad Nim przestworza słoneczne... Tym dwojgu żył...

L. Usarewiczówna,
kl. IV, Gdynia



Raid bałkański

Warna.

Reprezentacyjna wycieczka młodzieży szkół średnich z Polski do Bałkanu, oto nazwa naszej wycieczki. A więc my mamy reprezentować młodzież polską? Jesteśmy dumne! Tak, musimy się dobrze spisać!

27 czerwca zbiórka w Katowicach. Przestajemy być „nami", a jesteśmy już tylko numerami przydzielonymi do grup.

Jest 180 osób, a 11 grup. Pięć grup dziewczynek, cztery grupy chłopców, a dwie ostatnie to nasza „opieka". Oddajemy do opieczętowania nasze walizki i słuchamy wskazówek. Kierownik bardzo srogi przypomina, że wycieczka ma być nie tylko przyjemnością, lecz ma nas wielu rzeczy nauczyć, zapoznać nas z braćmi Słowianami, rozszerzyć nasze horyzonty myślowe. Dlatego wymaga od nas bezwzględnego posłuszeństwa i uprzejmości w stosunku do opiekunów. Mamy pamiętać, że reprezentujemy polską młodzież! Przypinamy biało-czerwone wstążeczki z napisem „Polska — Pologne" i ruszamy na stację. O godz. 12,23 opuszczamy w wesołym nastroju Katowice. Już w pociągu zapoznajemy się ze sobą, najpierw w obrębie grupy, a później powoli z resztą koleżanek i kolegów. (Oczywiście niesposób poznać wszystkich). O 15 przejeżdżamy granicę polską. Przecinamy uroczą doli-

ne Wagu i wreszcie o 22-ej mijamy już drugą granicę. Jesteśmy na Węgrzech. Notujemy pierwsze spostrzeżenia, pilnie staramy się zapamiętać każdy szczegół. Około godz. 22.30 widać już światła Budapesztu. Z ożywieniem wymieniamy nasze spostrzeżenia i przypuszczenia. Jak wygląda Budapeszt, tyle się przecież o nim słyszy. Czy będziemy się mogły porozumieć z Węgrami i czy nas gościnnie przyjmą? Za chwilę już mogłyśmy sobie na te pytania odpowiedzieć.

Dworzec wspaniały! Wita nas delegacja polska, stowarzyszenie polsko-węgierskie, harcerze i wiele innych osób. Przemówienia po polsku, francusku, niemiecku, węgiersku, fotografie! Sprawozdawcy prasowi chcą uchwycić każdy manewr, chcą od razu zebrać jak najwięcej materjału do artykułów, które ukazały się już następnego dnia.

Wreszcie olśniewają nas tysiące świateł, jedziemy tramwajem do Collegium Marianum. Tu mija pierwsza, pełna wrażeń noc.

28-go rano po nabożeństwie zwiedzamy autokarami miasto. Zaczynamy od mostu Elżbiety, kościoła farnego i pomnika zwanego Milenium. Pomnik ten został zbudowany w r. 1896 w tysiączną rocznicę przybycia Madziarów na ziemię węgierską. W ciszy i skupieniu złożyliśmy wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza i dalej z autokarów oglądamy cudowny Budapeszt. Z dala wznosi się wzgórze św. Gellerta, most Łańcuchowy i Franciszka Józefa i Małgorzaty. Oglądamy jeszcze kościół koronacyjny, basztę t. zw. rybacką i zamek królewski, obecnie część jest zamieszkała przez Admirała Horty'ego, regenta Węgier.

Po południu mamy wolne! Nic może być nic bardziej wymarzonego! Upał szalony! Idziemy się kąpać do basenu św. Gellerta. Wspaniała woda, sztuczne fale, czy trzeba nam czegoś więcej? Takie to wszystko dziwne! Słyszymy tylko węgierski język i nic, a nic nie rozumiemy. Staramy się usłyszeć każde słowo; może czegoś domyślimy się, ale na próżno. Nasi przewodnicy - harcerze mówią po francusku i po niemiecku. Zachwyty nasze zazwyczaj wyrażamy po polsku, łudząc się, że przecież jesteśmy zrozumiane. Ale gdzież tam! Nasz przewodnik patrzy zdumiony i bezradny: „Je ne comprends pas, mademoiselle".

Następnego dnia znowu zwiedzamy miasto. Największe wrażenie zrobił na nas Parlament, słynny gotycki parlament węgierski.

I.

A po południu niespodzianka! Przejażdżka po Dunaju! Na pożegnanie Budapesztu wyszłyśmy wieczorem. Idziemy bulwarem nad wspaniale oświetlonym Dunajem. Z dala dochodzą nas dźwięki cygańskiej muzyki. Staramy się głęboko wbić sobie w pamięć obrazy, które przesunęły się przed naszymi oczami.

29-go rano wyjazd do Jugosławii. Żegnają nas harcerze kwiatami. Każda z nas dostaje bukiet biało-czerwonych róż.

W pociągu ożywienie! Dzielimy się wrażeniami, chwalimy nowymi znajomościami z młodymi Węgrami.

Już mijamy granicę jugosłowiańską. Na stacjach śpiewamy pieśni polskie, dla urozmaicenia czasu.

Zatrzymujemy się godzinę w Subotnicy na obiad. Witają nas dźwięki hymnu polskiego. Co za miła niespodzianka! Niejednej ze wzruszenia napływają łzy do oczu.

O 17.50 jesteśmy w Belgradzie! Już drugie państwo i druga stolica! I znowu dźwięki hymnu polskiego! Rzesze młodzie-



Uczestnicy Raid'u na tle Parlamentu w Budapeszcie.

ży jugosłowiańskiej wyszły nas powitać w swoim kraju. Jak wielka radość, rozumiemy się z trudem, ale przecież choć kilka słów rozumiemy. Prędko zaprzyjaźniłyśmy się z naszymi koleżankami z Jugosławii i razem udajemy się na kolację i spoczynek. Dziwnie miły był ten wieczór. Kolacja w eleganckiej restauracji. Sala przybrana barwami polskimi i jugosłowiańskimi. Zaczynamy śpiewać pieśni polskie; ktoś już znalazł się przy fortepianie. Melodie polskie podobają się Jugosłowiankom, więc z ochotą śpiewamy. Nagle przyszła nam chęć, aby trochę potańczyć. Niestety, pan kierownik nie pozwala. Obiecał solennie tę przyjemność na później. No, i słowa dotrzymał!

Dzień 30-go czerwca dostarczył nam wiele nowych wrażeń. Po rannym zwiedzaniu miasta i załatwieniu ważnych sprawunków (najważniejsze z nich, to kupienie kilku drobiazgów, bransoletek i t. p. rzeczy, napisanie kartek do domu i wreszcie pójście na lody), w galowych mundurach udajemy się wszyscy na oficjalne przyjęcie do poselstwa Rzeczpospolitej.

W pokojach i na tarasach porozstawiane stoły. Wszyscy są dla nas mili, uprzejmi, wszyscy mówią po polsku. Pan minister i pani ministrowa zapraszają, pytają o wrażenia. Za chwilę jesteśmy jak u siebie w domu. Jedzenie w amerykańskim tempie znika ze stołów.

Tegoż dnia czeka nas jeszcze jedna niespodzianka: idziemy do teatru! Szalona radość! Wkrótce jednak okazało się, że nic a nic nie możemy zrozumieć. Jesteśmy jak na tureckim kazaniu. Jedynie tańce trochę cygańskie, trochę jugosłowiańskie, a raczej serbskie wynagrodziły nam kilkugodzinną nudę.

Ostatni dzień w słonecznej Jugosławii spędziłyśmy na Oplenac. Oplenac to letnia rezydencja króla. Tu w cudownej cerkwi św. Jerzego spoczywają zwłoki króla Aleksandra I. Oplenac znajduje się o sto kilkadziesiąt km. od Belgradu. W drodze powrotnej do Belgradu, w czasie obiadu w Mladenowcu, przemawiał jeden z bliskich współpracowników zmarłego ostatnio króla Jugosławii. Rzucił on hasło: „Bracia Słowianie łączcie się“, poczem zabrzmiał hymn polski i hymn jugosłowiański „Boże prawde“. Chwila była wzruszająca. Czuliśmy, że łączy nas coś z Jugosławią, że jesteśmy jednym narodem słowiańskim.

Wieczorem opuściliśmy Belgrad serdecznie żegnani.

Pierwsza noc w wagonie mija bardzo szybko. Już o 8-ej rano (wedle czasu wsch.-europejskiego) jemy śniadanie w Caribrodzie, granicznej stacji jugosłowiańskiej.

Pierwsza stacja bułgarska! Orkiestra gra mazura Dąbrowskiego! Witają nas delegacje szkół sofijskich. Jedziemy z nimi do Sofii. Na dworcu w stolicy tysiączne tłumy młodzieży z kwiatami. Śpiewają „Jeszcze Polska“. I my śpiewamy „Szumi Marica“. Przed dworcem wszystkie szkoły sofijskie tworzą szpalery. Z orkiestrą ruszamy do I-go żeńskiego gimnazjum.

Przygotowano nam przyjęcie jakiegośmy się nie spodziewały. Zostałyśmy wszystkie zaproszone do przyzwoitych domów na cały czas pobytu w Sofii. Po południu zebraliśmy się w gimnazjum, skąd wyruszyliśmy na zwiedzanie miasta.

II.

Wieczór wolny! Spędzamy go w towarzystwie Bułgarki, u której mieszkamy.

Następny dzień znowu zwiedzanie miasta i okolicy i znowu wolny wieczór.

W niedzielę wieczornica i zabawa. Czekamy ze zniecierpliwieniem. Wieczornica urządzona częściowo przez nas, a częściowo przez Bułgarki. Nasz krakowiak, trojak i drybek śląski wywołały wielki entuzjazm. I my nie pozostaliśmy dłużni. Żywo oklaskiwaliśmy piękne tańce bułgarskie.

Z żalem opuszczamy Sofię. Ma ona tyle uroku, uroku dotąd nam nieznanego! Wpływ turecki jest tu tak silny, że element ten niemal przeważa. Meczety tureckie pozostawiają wrażenie niezapomniane

Rano jesteśmy już w Plowdziwie, drugim z kolei mieście bułgarskim. W południe ruszamy dalej. Wieczór i noc spędzamy w Tirnowie, dawniej stolicy Bułgarii, uroczo położonej na stokach gór. Po zwiedzeniu starego tureckiego miasta wyjeżdżamy do Warny nad Morze Czarne. Nie możemy się doczekać chwili przyjazdu! Marzymy o tym morzu od dawna! Jeszcze kilka godzin i jesteśmy w Warnie, eleganckiej miejscowości kąpielowej.

III.

Rano dn. 8-go zwiedzamy pole bitwy pod Warną i mauzoleum Warneńczyka. Po wielu przemówieniach, okrzykach na cześć Polski i Bułgarii i złożeniu wieńca, udajemy się autobusami na plażę.

Najbardziej urocza chwila, to cudowna kąpiel w morzu. Humory wspaniałe! Wesoło robi się na plaży, gdzie spędza czas wielu cudzoziemców. Nie pomaga gwizdek na zbiórkę. Ani nam się nie śni wracać do domu! Tłumaczą nam, że minęły już trzy godziny, ale to nic nie pomaga. Dopiero obietnica, że będziemy się kąpać po raz drugi po południu zdołała nakłonić nas do powrotu na obiad. Po południu czekała nas jeszcze jedna przyjemność. Wizyta w Domu Polskim.

9-go rano opuściliśmy gościnną Bułgarię, by za 19 godzin znaleźć się w Bukareszcie. W Bazardiic rewizja. Staramy się jednak zachować jak najswobodniej. Ktoś pyta się, czy nie zabiorą pieniędzy. Wieziemy takie duże papierowe pieniądze po 500 i więcej lei. Przecież ograniczenia dewizowe... Za chwilę już śmiejemy się. Te 500 lei to tylko 20 złotych!... Już, już zbliżają się celnicy — słychać wołania „Proszę otworzyć walizkę" — mówi po francusku celnik — „co pani wiezie"? — „Drobiazgi". — „Ma pani papierosy?" — Prawie wszystkie wiozły na prezent bułgarskie papierosy. — „Mam" — odpowiadam. — „Ile sztuk?" — „Nie dużo". — Przegląda walizkę i idzie dalej. Następnej zadaje te same pytania. — „A czy pani pali?" — pyta jednej z koleżanek." — „Nie, wiozę dla ojca papierosy." — „Niech zostaną, pani pierwsza powiedziała prawdę, dlatego niech pani schowa te papierosy". — Poznał się na tem, że przecież nie palimy. Zaczynamy się śmiać. Teraz już możemy. Jest po rewizji.

Nareszcze, nareszcie widnieje z dala napis „Bucuresti". Kres naszej podróży. Tęsknimy już za Polską. Chcemy usłyszeć na ulicach mowę polską.

Rumuni witają nas nie mniej serdecznie niż Bułgarzy.

Bukareszt szalenie nam się podoba. Olbrzymie nowoczesne miasto, zakrojone na wielką skalę.

I cały prawie dzień wolny! Jak cudownie! Wychodzimy na miasto po zakupy. Trzeba przecież coś przywieźć na pamiątkę! Nasze zasoby pieniężne maleją. Ta olbrzymia suma lei, jak nam się wydawało, wnet pozostaje w bazarach, owocarniach i cukierniach bukareszteńskich.

Wieczorem przyjęcie u posła Rzeczypospolitej p. Arciszewskiego. Znowu okrzyki na cześć Polski, Rumunii. Jesteśmy już do tego przyzwyczajone.

Następnego dnia zwiedzanie miasta, wystawy „Luna Bucurestilon", zaznajomienie się ze wsią rumuńską (na wystawie urządzona jest wieś tak, że wieśniacy mieszkają w swoich chatach, jak normalnie na wsi) i wyjazd do Padurea Baneasa" na podwieczorek wydany przez Zarząd Miasta.

Na zakończenie wieczornica w parku Cotroceni.

Rumuni żywo oklaskują nasze tańce i pieśni.

Na pożegnanie dostajemy wszyscy po pudełku pomadek.

Już jesteśmy na dworcu. Żegnamy Rumunię. Za 24 godziny będziemy w domu, będziemy w Polsce!

Jeszcze jedna rewizja! — „Proszę otworzyć pomadki, może są tam pieniądze"? „Chciałabym je tam znaleźć, może pan poszuka, proszę" — odpowiadam. „Niech pani zostawi" — uśmiecha się i odchodzi polski celnik.

Przejeżdżamy granicę, jesteśmy u „siebie"! Czy nie najmilej wracać do Polski, choćby po 16-tu dniach.

Kraków *Krystyna Wilkoszówna, gimn. 444, kl. VIII.*

TREŚĆ N-ru 1:

Warunki prenumeraty: rocznie 5 zł.

Numer pojedyńczy 30 gr.

Konto P. K. O. „Dziś i Jutro" 404930.

Redaktor naczelny: Jadwiga Szarska, Warszawa, Łowicka 31.

Wydawca i red. odpow.: Jadwiga Bahr.

Adres redakcji:
Pokrzywno, p. Krzesiny, pow. Poznań.

Czcionki i druk: Drukarnia Polska Spółka Akcyjna w Poznaniu, św. Marcin 70